

# WAWERLEJ

opowiadanie historyczne

WEDŁUG

WALTER-SCOTTA.

Ciąg dalszy.

— Czyż nie masz wstydu, rzekł do niej, szlochać w przytomności obcego jak córka jakiego biednego dzierżawcy, gdy żyje leje za utraconą krówką lub ciołaczkiem własnego chowu. Kapitanie Wawerleju inaczej sobie tłumacz przyczynę jej boleści. Płacze ona dla tego, że widzi dobrą Ojca swego wystawioną na napady i łupiestwo nikczemnych rozbójników, przeciw którym odjęto nam wszystkie środki ratunku. W tej chwili wszedł do pokoju Rządca i rzekł żalonym głosem:

— Gromada panie Baronie chętnie chce usłuchać pańskich rozkazów, ale na nie to się nie przyda, gdyż tylko kilku dworskich ma pałasze i pistolety, rozbójników zaś jest kilkunastu silnych górali, od stóp do głowy uzbrojonych nalezycie.

Baron nie odrzekł, ciągle przechadzał się z jednym gniewem po pokoju, wreszcie zatrzymawszy się przed obrazem z portretem rycerza w żelaznej zbroi, rzekł:

— To mój dziad kapitanie, który z pomocą dwustu konnych pogromił pięciuset tych rozbójników górali, którzy zawsze byli postrachem dla mieszkańców dolin. On to utrzymał ich w bojaźni i posłuszeństwie a ja dziś jego wnuk muszę bezkarnie znosić taką obelgę.

Nastąpiło uroczyste milczenie, poczem każdy z obecnych udzielał radę co zrobić. Rządca radził zapłacić po dolarze od sztuki, Intendent sprzeciwiał się temu, Edward powiedział, że najlepiej sprowadzić oddział żołnierzy celem uwięzienia złoczyńców, a Róża wreszcie oświadczyła, że najlepiej zapłacić zaległy haracz Mak-Iwor-Wich-Jan-Wohrowi, który tym sposobem najdzielniej się przyczyni do odzyskania zabranego bydła.

Baron na żadną z tych rad nie zgodził się, gdyż każdy układ z rabusiami uważał za rzecz haniebną i ubliżającą. Radę zaś Wawerleja uznał jako dowód, że nie zna stanu całego kraju i stronnictw politycznych które go rozdzierały.

— Co się zaś tyczy moich zatargów, mówił dalej Baron, z ich hersztem Fergusem Mak-Iwor, którego dalszy koniec długiego nazwiska niech przepadnie razem z tym co je nosi, otóż co się tyczy tych zatargów, wyraźnie oświadczam że mu kroku nie ustąpię, choćby mi chciał wszystko zwrócić, co cały jego klan zabrał mojej rodzinie. Trzeba zatem wżwać wszystkich sąsiadnich baronów narażonych na podobne niebezpieczeństwo, i wspólnymi siłami wystąpić przeciw tym rabusiom, i tępić bez litości jak gniazdo szerszeni.

Intendent wojny nie lubiący, wydobyl ogromny z kamizelki zegarek podobny do małego talerza,

i oświadczył, że ponieważ jest to już dziewiąta godzina a napad świtanem był dopełniony, prawdopodobnie więc rabusie znajdują się daleko, nim więc sprzymierzeni nadciągną, nieprzyjaciela z łupem ujdzie w niedostępne góry, gdzie ścigać go byłoby i niebezpiecznie i niepożytecznie.

Uznano słuszność tej uwagi, a gdy Intendent oświadczył, że dla zaspokojenia potrzeb kuchni każe przypędzić własne trzy krowy, ofiarę tę przyjęto chętnie i Baron wraz z domownikami wyszedł dla wydania odpowiednich rozkazów.

— Macie państwo sąsiadów nie do zazdrości, odezwał się Wawerlej do Róży. Czyżby więc ów Fergus, którego całego długiego nazwiska niepodobna wymówić, byłby hersztem tych łotrów?

— Hersztem łotrów?—powtórzyła Róża z uśmiechem. Fergus panie kapitanie, to naczelnik potężnego klanu górali, człowiek w wielkiem u wszystkich zostający poważanin, którego lękają się bardzo mieszkańcy dolin.

— A cóż on ma wspólnego z rozbójnikami? — Jestże policyjnym urzędnikiem któremu zlecono czuwać nad spokojnością kraju?

— Raczej nad wojną, odpowiedziała Róża. Jest to bardzo niebezpieczny sąsiad dla tych, którzy nie są jego przyjaciółmi, tym bardziej że ma więcej ludzi na swe rozkazy aniżeli inni trzy razy od niego bogatsi. W jakich zaś stosunkach zostaje z rozbójnikami tego ja sama dobrać nie wiem:—wiem tylko to, że żaden z nich ani podkowy nie ukradnie tym, którzy wykupne opłacili Wich-Jan-Wohrowi.

— Cóż to za wykupne być może?

— Jest to rodzaj daniny bezpieczeństwa którą mu płacą mieszkańcy dolin i właściciele dóbr u podnóża kraju górnego, któremukolwiek naczelnikowi górali, aby i sam nie wyrządzał krzywdy i innym tego czynić nie dopuszczał. Gdyby ci np. kapitanie ukradziono bydło, potrzebowałbyś tylko udać się do niego w takim razie, a natychmiast strata byłaby wróconą. Gdyby zaś nie był w stanie wysledzić jej sprawców, natenczas napada na odleglejszą okolicę, z której mieszkańcami zostaje w niezgodzie, zabiera im krowy i przyprowadza w miejsce skradzionych.

— I taki rozbójnik i opryszek, odezwał się Wawerlej z oburzeniem, jest człowiekiem jak pani twierdzi, powszechnie szanowanym?

— Tak jest, a nieporozumieniem z moim Ojcem wyniknęło z tego powodu, że na pewnym zebraniu właścicieli ziemskich, Fergus przechwalał się, iż on trzyma pierwszeństwo nad wszystkimi mieszkańcami nizin, na co mój Ojciec żadnym sposobem nie chciał się zgodzić. Wówczas Mak-Iwor uśmiechając się szyderstwem odrzekł, że jako opłacający mu daninę bezpieczeństwa najlepiej wiedzieć powinien, kto w nizinach przewodzi drugim. To naturalnie Ojca mego niezmiernie rozgniewało, gdyż nie wiedział, że Intendent załatwiał tę sprawę potajemnie przed nim, i że wydatek na ten haracz pod inną nazwą w regestrach zapisywał. Sprzeczką z moim Ojcem tak się z tego powodu zwiększyła, że byłiby się zaraz na miejscu z sobą pojedynkowali, ale Fergus rzekł wrodzoną mu szlachetnością powodowany, że nigdy swojej ręki na siwą nie podniesie głowę, a szczególnież też na głowę Ojca mego tak



wielkiego godną szacunku. O jakże bym pragnęła, żeby sobie byli zawsze przyjaciółmi.

— Czy pani widziałaś kiedy tego pana Mak-Iwora, jeżeli takie jest jego imię?

— Nie, to nie jest jego imię, a przytem uważałby za obrazę gdybyś go kapitanie nazwał panem. Mieszkańcy dolin mianują go tytułem jego posiadłości, Glennaquoich, górale zowią go Wich-Jan-Wohrem, to jest synem wielkiego Jana, a my tu przy podnóżu gór, nazywamy go obudwoma imionami.

— W każdym razie jest to dziec uorganizowana panno Rózo, i nie wątpię, że i herszt jej zwany przez panią łagodnie naczelnikiem klanu, jest równie dziki i odrażający.

— Mylisz się kapitanie, odparła Róza, Fergus Mak-Iwor jest to bardzo grzeczny, ukształcony i miły młodzieniec. Siostra jego Flora tak światła i rozsądna, że za pierwszą dziewicę uchodzi w całej okolicy. Chowała się w klasztorze we Francyi, i przed temi nieszczęśliwemi zatargami żyłyśmy z sobą w najlepszej przyjaźni. Panie kapitanie, spraw to wpływem swoim na mojego Ojca, żeby te nieporozumienia zgodnie załatwione zostały. Przekonana jestem, że to są tylko początki daleko większych nieszczęść w przyszłości, gdyż nigdy nie było ani pokoju ani bezpieczeństwa w Tully-Weolan, wiele razy zostawaliśmy w nieprzyjaznych stosunkach z góralami. Gdym miała lat dziesięć, przyszło raz do bitwy między góralami a moim Ojcem i dworzanami. Kule porzbiły kilka szyb w zamku co tak blisko się potykali: trzech górali poległo na placu, a towarzysze wnieśli zabitych obwiniętych w plecy do sieni i odbiegli. Nazajutrz przyszły żony i córki poległych, poczęły płakać, załamywać ręce, przeraźliwie krzyżeć i jęczyć, wreszcie wyniosły ich przy odgłosie żalonych śpiewów i piszczałek. Przez sześć tygodni od strachu spać nie mogłam, ciągle mi brzmiał w uszach ten okropny pogrzebowy głos, ciągle w oczach stały ciała leżące na schodach kamiennych obwinięte krwią zbroczonemi tartanami. Wkrótce potem zjechał oddział żołnierzy i zabrał wszystką broń; dziś więc jesteśmy bezbronni, jakże więc się obronimy gdy nas napadną górale?

Opowiadanie to tak malownicze młodej panienci, która bez żadnych sztucznych dodatków opisywała wypadki jakich sama była świadkiem, zaostrzyły niezmierznie ciekawość Wawerleja, poznania bliżej tej jakby zaczarowanej krainy. Nadeszły w tej chwili Rządca, jeszcze bliższych udzielił objaśnień zgodnych zupełnie z opowiadaniem panny Róży, dodając że rabusie ci zabierają nietylko bydło, zboże i inne rzeczy gospodarskie, ale nadto czasami porywają i ludzi, których wykupywać trzeba z niewoli. Wszystkie te gwałty zostały wzbronione jeszcze ustawą w r. 1567 wydaną, ale prawa owe przez tych niegodziwych łotrów, złodziejów, rabusiów i rozbójników, jak się wyrażał z wielkim gniewem Rządca, zostały najsromotniej zdeptane i sponiewierane.

Około południa wrócił Baron do zamku już zupełnie uspokojony, i nie tylko stwierdził co o góralach Wawerlejowi powiedziano, ale przydał kilka wiadomości z własnego doświadczenia zaczerpniętych, malujących dokładnie obyczaje mieszkańców kraju górnego.

— Naczelnicy ich, rzekł w końcu, zaeni to ludzie i od sławnych przodków ród swój wiodą, a taką nad pokoleniami którem przewodzią mają przewagę moralną, że jedno słowo przez nich wymówione sta-

je się prawem dla całego klanu. Jużćie nie powinni oni przypuszczać, co już nieraz się zdarzało, że ich Prosapia czyli rodowód szlachecki, może iść w porównanie ze starymi dyplomami naszej szlachty, mimo tego gardzą nimi jakby cała powierzchnia ich kraju, jednym tylko była pargaminem nakryta.

Edward nie mogąc powściągnąć swojej ciekawości, zapytał, czyby nie mógł zrobić wycieczki w sąsiedzkie góry?

— Nie łatwiejszego Kapitanie, odrzekł Baron, ale wprzód spór mój musi być zakończony. Dałbym ci listy polecające do najznakomitszych naczelników, którzyby cię z wielką przyjęli gościnnością.

— Więc jadę, choćby natychmiast, odezwał się Wawerlej, i w tej chwili nagle rozwarły się drzwi i wszedł do pokoju prowadzony przez Intendenta góral ze strzelbą w rękę. Był to krępy mężczyzna, z pochmurnem wejrzeniem i dumną postacią szerokim osłonięty pledem. Torba z koziej skóry wisiała z przodu między pistoletem i sztyletem: duży pałasz zwieszał mu się od bioder, tarczę miał na plecach, w rękę jednym trzymał długą strzelbę a drugą zdjął czapkę wchodząc do pokoju ozdobioną krótkim piórem na znak szlachetności swego rodu. Edward sądząc że to nowy napad zerwał się, ale zobaczywszy Różę i Barona siedzących spokojnie usiadł na nowo i z ciekawością wpatrzył się w przybysza.

— Witaj Ewanie Dhu Maccombisich, odezwał się Baron nie poruszając się z miejsca. Cóż nam nowego zwiastujesz od Fergusna Mak-Iwor?

— Fergus Mak-Iwor-Wich-Jan-Wohr, odrzekł przybyły dobrą angielszczyzną, pozdrawia was Baronie na Bradwardine i Tully-Weolan. Ubolewa on i mocno żałuje, że was dzieli z nim Baronie chmura niechęci, której przodkowie nasi nigdy nie znali, dla tego prosi was żeby ta chmura rozproszyć się mogła, i znowu tak wszystko było jak dawniej między klanem Iwor a rodem Bradwardinów. Ozuje on że i wy Baronie tego samego pragniecie, i że chmura ta równie wam dolega, ale pragnie, aby nikt nie pytał, czy ona z góry w doliny się spuściła, czy z doliny w górę się podniosła. Wreszcie nigdy ci nie biją pochwą którzy nie chcieli rąbać pałaszem, a biada temu kto przyjaciela lekceważy dla małej chmury wiosennego poranku.

— Wiem dobrze, odrzekł Baron z powagą jak monarecha udzielający posłuchanie posłowi nieprzyjaciela; wiem dobrze że głowa klanu Iwor sprzyja królowi Stnartowi i dla tego bardzo żałuję, że się między nami rozpostarła chmura nieporozumienia, gdyż w walce dwóch obozów ten słabszy kto nie ma brata.

Rozmowa tak żywcem zaczęta, dla lepszego utrwalenia przyjaźni między dwoma tak znakomitemi domami, zalaną została wódka zaprawną korzeniami, wypitą przez Barona za zdrowie Mak Iwora, a przez posła za pomyślność domu Bradwardinów. Tym sposobem założywszy fundamenta przedwstępnej ugody, Ewan wyszedł z Rządczą dla lepszego porozumienia się o warunki, co do wypłaty zaległej należności, o czem naturalnie Baron wiedzieć nie potrzebował.

Gdy dwaj pełnomocnicy zasiedli przy nowej flaszki i z tej coraz bardziej trunku zaczęło ubywać, Ewan począł pilnie wypytwać się o wszystkie okoliczności dotyczące rabunku i w końcu oświadczył,



iz musi jak najprędzej udać się w drogę dla wyszukania zabranej trzody, która przepaść nie mogła.

Wawerlej wyszedł razem z Ewanem na te zwiady i wydziwić się nie mógł jego przezorności w badaniu najmniejszych szczegółów, z których wyprowadzał wnioski bardzo prawdopodobne. Ze zaś góralowi bardzo pochlebiało, iż Wawerlej wszystkiemu comówił pilnie się przysłuchiwał, zaprosił go więc z sobą w góry do miejsca gdzie bydło zagnano.

— Jeżeli tam znajduje się zdobycz gdzie myślę, rzekł Ewan, w takim razie mogę zapewnić, iż przez całe wasze życie takiego przepysznego ustronia nie widzieliście i już nie ujrzycie.

Edward bardzo chętnie przyjął towarzystwo górala, zwłaszcza że go zapewniono iż mu zupełnie zaufać może.

— Cokolwiek się utrudzicie podróżą, rzekł Ewan do kapitana, ale z powrotem odpoczniecie w domu Mak-Iwora, a w gościnie tej zapomnicie o trudach przebytych.

Do skutecznienia więc tak ponętnej wycieczki nie było już żadnej przeszkody, panna Róża wprawdzie lękała się o wypadki dość niebezpieczne w kraju nie lubiącem Anglików, ale uspokoił ją Ojciec powiadając, że młody człowiek z trudem i niebezpieczeństwami powinien zawczasu oswajać się, aby nabrał hartu samodzielności. Strzelec przydany do podróży wziął na plecy torbę z żywnością, Wawerlej więc ze strzelbą w rękę puścił się śmiało w drogę, w towarzystwie Ewana i dwóch dzikich górali składających jego orszak, z których jeden miał na plecach siekiere a drugi długą strzelbę.

— Ludzi tych nie wziąłem dla obrony swojej, rzekł Ewan, ale dla przyzwoitego stawienia się w Tully Weolan jako poseł i brat mleczny Wich-Jan-Wohra. Ach! gdybyście widzieli, jak wspaniale wygląda gdy się z ognem pokaże.

— Z ognem? — zapytał Wawerlej.

— Tak jest z ognem czyli zwyczajnym orszakiem kiedy równych sobie nawiedza. Wtedy idzie najprzód *Hauchmaun* czyli jego prawa ręka, dalej *Baird* czyli poeta; dalej *Bladier* to jest mówca który mówi za niego i wita wszystkich. Dalej postępuje *Gilly-more* albo giermek niosący jego tarczę, strzelbę i pałasz; dalej *Gilly* który go na barkach swoich przenosi przez rzeki i błota; dalej *Gilly-com-straine* ten konia prowadzi; następnie *Gilly-trus-charnisch* z jego torbą, fajfer i jego pomocnik, i w końcu z tuzin pacholków służących tylko do rycerskiej ozdoby Fergusa Mak-Iwor.

— I wasz naczelnik wszystkich tych ludzi ciągle utrzymuje? — zapytał Wawerlej.

— Wszystkich naturalnie i daleko więcej innych którzyby nie wiedzieli gdzie mają przemocować, gdyby nie było wielkiej stodoły w Glennaquoich.

Na podobnej rozmowie sławiącej okazałość naczelnika klanu bądź w wojnie lub pokoju, zeszło im nie mało czasu w drodze; nakoniec zbliżyli się do wyniosłych gór na które dotąd zdala poglądali. Już się zmiernie zaczęło, gdy wkroczyli do jednego z tych ciasnych okropnych wąwozów co niziny z górną łączą Szkocją. Ścieżka spadzista, ostra, nierówna przeżyła ten jar między wysokimi ścianami skalnymi, rozciągającymi się do cieśniny wydrążonej pędem rwącego strumienia. Kilka ukośnych promieni zachodzącego słońca dosięgając fali strumienia, ukazało sto skał i sto wodospadów rozrywających jego powierzchnię. Pochyłość do strumienia była

niezmiernie spadzista: tu i owdzie sterczały były granitu, zdarte drzewa, których korzenie zawikłane płatanią rozszerzały się w skalnych zapadłościach. Po prawej stronie wznosiła się niedostępna skała, a z przeciwnej strony na samym wierzchołku góry, widać było zarośl krzewistą z pośród której wybijały się wysmukłe jodły.

— To cieśnina Bally Brough, odezwał się Ewan widząc że Wawerlej z zajęciem przygląda się temu dzkiemu obrazowi. Przypniecie, że miejsce to wyborne do zasadzki, to też w starych czasach na tem miejscu, dziesięciu górali broniło się przeciw stu mężom z nizin. Ale patrzcie, mówił Ewan dalej patrząc w powietrzne obszary, oto leci orzeł, ptak jakiego w Anglii nie znacie. Leci on na podwieczorek do zamku Bradwardine, muszę go pierwej zapoznać z moim śrutem.

To rzekłszy wypalił ze strzelby, lecz chybił mocarza powietrznych szlaków, który nie zważając jakie mu groziło niebezpieczeństwo, wspaniałym lotem ciągnął dalej. Na głos wystrzału niezliczona moc drapieżnych ptaków, sokoły, jastrzębie, sępy i kruki wypłoszone z legowisk na noc obranych, wzbivszy się w górę, przeraźliwe swe głosy z szumem potoku zmieszały. Markotny Ewan tak złym popisem swej zręczności, szedł dalej osłaniając swe zawstyżenie nuceniem narodowej pieśni.

Przybyli nareszcie do wąskiej doliny między dwoma górami zarosłymi gęstym wrzosem. Leśny strumień był ich ciągłym przewodnikiem; postępując w kierunku jego zakrętów, tu i owdzie przez niego na drugą przepawali się stroną. Ewan nie chciał aby go przenoszono, i brodząc po pas w wodzie chciał go przekonać, że nie jest takim niewieścuchem za jakiego może go uważać. Z wąwozu dostali się do zarośli bagnistej i niezmiernie rozległej; przyswiecała im jeszcze wątpliwa jasność zmierzchu, lecz i to światelko rozproszyło się gdy przyszli do podnóża stromej skały. Na tę wdrapać się niełatwo było Wawerlejowi; nastąpiła noc acz pogodna ale nadzwyczaj ciemna; Wawerlej krzepiąc wątłone siły dotrzymał jednak kroku swemu przewodnikowi, który zdawał się być zupełnie niestrudzonym.

Spuściwszy się z góry weszli do lasu, w którym Ewan z dwoma towarzyszami mu góralami złożył naradę i oświadczył, że torbę Edwarda nieść będzie góral, a strzelec pójdzie z drugim w przeciwną stronę w bok drogi której się dotąd trzymali.

— A to dla czego? — zapytał Wawerlej cokolwiek zaniepokojony.

— Donald Bean Lean, odrzekł Ewan, ma u siebie zabrane bydło, nie byłby więc bardzo zadowolony, gdyby zobaczył nieznajomych zbliżających się do jego siedziby dostępnej tylko dla szczególnych przyjaciół. Pod tym względem jest on tak wymagającym, że nawet sam pójść uprzedzić go że przybędziecie, bo nagłe ukazanie się wasze jako wojskowego mocnoby go przeraziło.

I nie czekając odpowiedzi tak ruszył szybko, że wkrótce zginął w ciemności nocnej i Wawerlej pozostał sam z dwoma milczącym góralami. Był więc sam zostawiony, gdyż przewodnicy jego uzbrojeni siekierami prawie nie umieli po angielsku. Szli gęstym lasem w którym nawet ścieżki w śród ciemności nie można było rozpoznać. Wszakże górali instynktem niejako wiedzeni nigdy nie zbaczali z toru, na chwilę nawet nie wahając się w pochodzie. Edward jednego z nich trzymał się niemal za poły,



po długim wreszcie marszu wyszli z lasu i stanęli nad jeziorem obszernym, i tu przewodnicy znak dali że się muszą zatrzymać. Wawerlej zadowolony z tego chwilowego spoczynku, siadł na ziemi i wpatrzył się w ciemną powierzchnię wody, dumając nad swem położeniem które go cokolwiek niepokoiło. Być niejako w mocy ludzi, z którymi nie mógł się nawet rozmówić w pośród nocy ciemnej i nieznaney okolicy, i przytem spodziewać się spotkania z człowiekiem dopuszczającym się napaści i rabunków, nie mogło być ani miłem ani pożądanem. Dumał też dość smutnie, w tem uczuł lekkie dotknięcie się swego ramienia, obejrzał się i zobaczył jednego ze swych towarzyszy, który wskazując ręką na drugą stronę jeziora rzekł:

— Tam jaskinia.

Wawerlej spojrział we wskazaną stronę, i ostrzegł światelko zrazu małe, migające tylko, potem nieco większe, wreszcie coraz rzęsiściej jaśniejące blaskiem. Zdziwiony tem jakby nadpowietrzem zjawiskiem, usłyszał pluskanie podobne do głosu wioseł rozbijających fale. Odgłos ten regularny zbliżał się coraz bardziej i nagle dało się słyszeć ostre gwizdanie. Góral z brzegu głośniejszem jeszcze odpowiedział gwizdnięciem: za kilka minut krypa z pięcioma góralami przybyła do brzegu na którym siedział Wawerlej i gdy podszedł ku niej, dwaj silni wioslarze nie mówiąc nawet słowa wzięli go na ręce i posadzili w statku, który z pośpiechem ku drugiej stronie jeziora popłynął.

Wszyscy milczeli, sam tylko sternik przerywał ciszę melodyą gaelickiej pieśni, której miara zdawała się uderzeniami wiosel kierować. Światło do którego zmierzała krypa ukazało się teraz w żywszym, czerwienistym i bardziej nieregularnym blasku. Nie trudno było rozeznaczyć, że to był wielki ogień, ale czy się palił na wyspie czy na stałym lądzie, tego jeszcze rozróżnić nie można było. Dopiero jak przyplłynęli bliżej, Edward poznał, że ów ogień rozniecony został u stóp wysokiej skały która nad samym brzegiem jeziora pionowo się wznosiła. Statek przyplłynął do zatoki: ogień palił się w otworze jaskini zasilany przez dwóch górali suchymi gałęziami i służył jak go później objaśniono, za latarnię dla powracających przewoźników. Ci skierowawszy krypę prosto ku otworowi jaskini, podnieśli w górę wiosła, dopuszczając statkowi iść siłą nabytego pędu. Krypa minawszy wysoką skałę, popłynęła dalej i przybyła do punktu, w którym odłamy skalne zdawały się być schodami dziedzielanymi przez samą przyrodę.

Natychmiast ogień został ugaszony; dwaj silni górale zanieśli Wawerleja w głąb groty, a gdy w ciemnicy uszedł kilka kroków nadsłuchując głosów ludzkich wychodzących z środka jaskini, nagle stanął przed nim sam Donald Bean Lean w swym nadwodnym gmachu.

Wnętrze groty oświetlone było palącym się łuczywem, dym napełniał całą groty zawieszając się chmurą po nad głowami, a przy obszernym kominie z zarzuceni się węglami siedziało sześciu górali, po za którymi w znacznie większej liczbie spoczywali ich towarzysze na rozpostartych pledach. W pobocznym wydrążeniu wisiały zawieszono za nogi na poprzecznej belce, owca, jagnię i dwie krowy świeżo zabite.

Donald w towarzystwie Ewana postąpił ku Wa-

werlejowi na powitanie, a pomimo rzemiosła jakie prowadził każące się w nim domyślać człowieka wyniosłej, silnej i dzikiej postawy, miał wzrost niski, włosy jasno-rude, twarz wychudłą i bladą a lubo miał dość zgrabne i szykowne ułożenie, przecieć był szczupły i mały. Służył kiedyś w wojsku francuzkiem, chcąc więc jak najokazalej przyjąć Anglika, przywdział na siebie nie narodowy góralski ubiór, ale stary niebieski mundur z czerwonymi wyłogami. Strój ten tak źle do jego miary przystawał, że Wawerlej byłby się głośno rozśmiał, gdyby na to grzeczność i bezpieczeństwo nawet pozwalały. Donald powitał go ze szczerą gościnnością szkocką, zdawał się znać dokładnie jego nazwisko i stosunki, a szczególnie polityczne zasady Stryja które najzupełniej pochwalał, bo domu hanowerskiego nienawidził. Wawerlej równą mu wypłacił się grzecznością, a usiadłszy niedaleko komina z węglami, ostrzegł otyłą góralkę, która postawiła trzy drewniane kubki z rodzajem bulijonu zwanego *imrygh* a wyrabianego tylko z niektórych części mięsa wołowego. Potem dano na węglach pieczony *beefsteaks* w obfitej ilości który jednak na talerzach Donalda i Ewana znikł z największą prędkością, a w końcu wiski czyli wódkę której górale dość sporą miarę wypili. Edward skosztowawszy tego napoju, już nie dał się namówić do drugiego kieliszka. Gospodarz ubolewał że go nie mógł winem poczęstować.

— Żeby mnie, rzekł, o przybyciu waszem kapitanie był kto uprzedził, wino miałbyś na stole, choćby mi go przyszło szukać w Edyburgu. Ale w domu nie mam go, a gdzie nie rośnie olszyna tam orzechy być nie mogą.

Następnie zwróciwszy się do Ewana, ubolewał z nim razem nad zgonem starca Dunkana, natchnionego wieszczą, obdarzonego darem przepowiadania. Wkrótce potem przyszła rozmowa na ówczesne wypadki krajowe, i zdziwił się Wawerlej a nawet zatrwożył, że taki człowiek jak Donald, tak dokładnie znał siły rozmaitych garnizonów i pułków w północnej rozłożonych okolicy. Wiedział także najdokładniej, ilu ludzi zaciągnięto do pułku Wawerleja za dóbr jego Stryja, i przypomniał Wawerlejowi kilka szczegółów jego samego dotyczących, co okazywało jasno, że rozbójnik naoczny był świadkiem wielu zdarzeń zasłych w pułku dragonów do którego należał. Gdy Ewan odszedł na stronę i obwinęty pledem usnął, naówczas Donald obejrzwawszy się w koło i przekonawszy się że nikt nie podsłuchuje zapytał tajemniczo:

— Powiedźcie mi kapitanie co was do mnie sprostawa?

Wawerlej domyśliwszy się że Donald, ma tu na myśli knowania na korzyść Stuartów, zmieszał się i niemal przerażony odrzekł:

— Chciałem bliżej poznać wasze góry i urwiska.

Donald spojrział na niego przenikliwie i potrząsnawszy głową ze znaczeniem rzekł:

— Moglibyście kapitanie bez obawy mi zaufać, bo godny tego jestem jak Baron Bradwardine, jak sam Wich-Jan-Wohr, ale kiedy się lękacie mniejsza o to, zawsze wam rad jestem w moim domu.

— Coś knują tajemniczo, pomyślał Wawerlej, trzeba się mieć na ostrożności aby nie wpaść w niebezpieczne na siebie podejrzenie.

d. c. n.